

*Bogusław Wolniewicz*

## O TZW. BIOETYCE

**Streszczenie.** *Modna dziś „bioetyka” to głównie sofistyka służąca zaciemnianiu faktu, że ludzki zarodek jest istotą ludzką. Jest nią od zygoty, gdyż już ona wciela kompletną i zindywidualizowaną ludzką „entelechię”: ludzką istotę we wczesnym okresie jej życia. Dlatego eksperymentowanie na ludzkich zarodkach przypomina blisko poczynania osławionego dra Mengele. Jest możliwe, że jednym z efektów nowej biologii będą ostre podziały ludzkości – religijne i polityczne – nieznanego dotąd rodzaju.*

**Słowa kluczowe:** bioetyka, klonowanie człowieka, antropologia, początek życia ludzkiego

## ON BIOETHICS

**Abstract.** *The so-called „bioethics”, fashionable to-day, is mostly sophistry to obscure the fact that human embryos are human beings. This holds already for the human zygote, as it embodies a complete and individualized human „entelechy”: a human being in its early stage of life. Therefore experimenting on human embryos resembles closely the dealings of the infamous dr Mengele. Possibly the new biology will force upon mankind deep religious and political divisions never known before.*

**Key words:** bioethics, human cloning, anthropology, beginnings of human life

- *Cóż więc mamy robić?*
- *Przemyśleć wszystko od początku.*

*Czesław Miłosz, „Ogród nauk”*

1. Sytuację duchową naszej epoki określiła trafnie w jednym celnym zdaniu encyklika *Fides et ratio* z 1998 r.: „W obliczu współczesnych wyzwań społecznych, ekonomicznych, politycznych i naukowych sumienie człowieka traci orientację”. Znaczy to, że przestaje rozeznawać co dobre a co złe; zachowuje się jak busola na obszarze anomalii magnetycznej.

Największym z wymienionych wyzwań jest ostatnie: to, które niesie nauka. Inne są bowiem wobec niego pochodne – bądź wprost, bądź poprzez technikę. W przypadku broni masowej zagłady, zwanych „broniami ABC”, mówi to sama ich nazwa. Przeludnienie globu jest niezamierzonym efektem postępów medycyny. Zniszczenie środowiska i masowe

bezrobocie to następstwa nowych technologii. Chyba tylko rosnące napięcie społeczne między zamożnością Północy i nędzą Południa nie ma swych źródeł w nauce – choć i tu kino i telewizja napięcie to zaostrzają, *ad oculos* demonstrując jednym styl życia drugich. Co więcej, te inne wyzwania, jakkolwiek wielkie, są wobec ludzkiego sumienia z e w n ę t r z - n e: niepokoją je, lecz go nie dezorientują. Czynimy tam coś, albo nie czynimy, nie dlatego, że nie wiadomo co robić, lecz dlatego, że czynić inaczej się nam nie chce. Tak np. rujnujemy dalej klimat Ziemi, bo nie chcemy ograniczać drastycznie emisji CO<sub>2</sub>. Nauka natomiast dotyka samych naszych pojęć o tym, co dobre i złe, relatywizując je jedno po drugim.

Zauważmy, że diagnoza encykliki odnosi się do sumienia ludzkiego w ogóle, a więc do wszystkich bez wyjątku. Odnosi się zatem również do samego jej Autora: on też czuje, że jego własne sumienie traci orientację. I to dopiero daje właściwą miarę szerzącego się zamętu. Kto go nie czuje, dowodzi tym jedynie, że nie starcza mu wyobraźni, by uprzytomnić sobie, co dzieje się dokoła niego i w nim samym.

2. Dzisiejszy kryzys sumienia ma swe główne źródło w biotechnologii: w jej bezprzykładnej interwencji w ciało ludzkie i w ludzką naturę. Odpowiedzią na ten kryzys miałyby być tzw. „bioetyka”. Pomysł jest prosty: niech na biotechniczną dezorientację sumień znajdą jakąś radę eksperci, ci od ciała i ci od sumienia; najlepiej wspólnie i demokratycznie w „komisjach bioetycznych”. W 1999 r. wyszło już u nas nawet rozporządzenie ministra zdrowia „w sprawie powoływania i trybu działania komisji i bioetycznych”. Mają to być, jak się tam wyjaśnia, organy nadzoru państwowego nad medycyną – tą badawczą i tą leczniczą.

Sam pomysł, by powoływać jakieś państwowe „komisje etyczne”, czyniąc w ten sposób z etyki instrument nadzoru, jest rodem wprost z Orwella i jego „ministerstwa miłości”. Powinien był przynajmniej wzbudzić silny sprzeciw, a nie wzbudził żadnego, raczej uznanie. To też jest miarą kryzysu.

W etyce nie ma „ekspertów”, są tylko autorytety. Te zaś – gdy w ogóle są – trafiają do sumień wprost, bez pośredników, zwłaszcza tych w postaci państwowych „komisji”; i trafiają nie przez słowa, lecz przez żywy wzór własnego życia. Stara sentencja mówi: „słowa pouczają, przykłady pociągają”. W sprawach sumienia słowa są bez siły. Mogłyby jej im przydać jedynie sankcje, a te nie mają z etyką nic wspólnego. Jedyną jej „sankcją” jest głos sumienia.

Rzekoma orientacja sumień przez „bioetykę” jest czystą mistyfikacją. Wszelkie „komisje bioetyczne” i podobne gremia pełnią całkiem inną funkcję społeczną niż deklarowana. Przede wszystkim polityczną: trzeba jakoś uspokoić opinię publiczną, mocno jednak poruszoną tym, co po trochu do niej dociera. A zatem powołuje się np. „Krajową Komisję Doradcą ds. Bioetyki” przy prezydencie USA (*National Bioethics Advisory Commission*) – i zaczyna się kontredans. Medycy pytają etyków, czy eksperymenty na ludzkich embrioch są dopuszczalne. Na to ci z solennymi minami pytają z kolei tych samych medyków, czy eksperymenty takie są potrzebne. Tamci odpowiadają, że nawet bardzo. Teraz ci wnoszą stąd, że skoro są tak potrzebne, to widać „służą człowiekowi”. A co służy człowiekowi, to słuszne, więc jakże tego zabraniać? Ktoś tam nieśmiało oponuje, ale ten sprzeciw nie ma żadnego znaczenia, bo sprawę załatwia się komisyjnie: liczone są głosy i na tym koniec. Medycy, już ze spokojnym sumieniem, przystępują „dla dobra człowieka” do ćwiartowania

ludzkich embrionów. A opinia publiczna słucha i myśli, że wobec tego wszystko jest chyba w porządku – i chętnie na to ćwiartowanie przystaje, bo wiele sobie po nim obiecuje. Nic dziwnego, że „bioetyka” stała się tak szybko popularna, i że nie szczędzi się na nią funduszy. Jest to nowe opium dla ludu, usypiacz sumień.

Zinstytucjonalizowana „bioetyka” ma też inną funkcję polityczną, mniej widoczną niż tamta. Stanowi mianowicie dogodny narzędnik dla aparatu państwowego, pozwalające mu ingerować w sferę sumienia. Sprzyja w ten sposób ekspansji **etatyzmu**, czyli dążeniu kasty urzędniczej do stałego rozszerzania zakresu swej władzy i – co za tym idzie – do stałego zwiększania liczby etatów. Jednym z walnych przejawów tej ekspansji jest proliferacja wszelkiego rodzaju „kodeksów etycznych”: lekarza, nauczyciela, posła, policjanta, pracownika nauki, czy jak ostatnio „pracownika służby cywilnej”, czyli po prostu urzędnika<sup>1</sup>. (Są też inne przejawy, np. instytucja tzw. „rzecznika praw dziecka”. W istocie jest to rzecznik praw państwa do wtrącania się w wewnętrzne sprawy rodziny i do podszywania dzieci i młodzieży przeciw własnym rodzicom lub nauczycielom. ) Wszystkie te „kodeksy etyczne” mają to samo na celu: zastąpić głos sumienia urzędową pieczęcią. A owe „komisje etyczne” są po to, by tym pieczętom i ich władcom przydać splendoru „naukowości” i „demokratyzmu” zarazem. Biurokracja niechętnie występuje otwarcie ze swymi aspiracjami.

„Bioetyka” ma również rozmaite funkcje dalsze, np. ekonomiczną. Służy za dogodny parawan „etyczny” dla mało etycznej działalności wielkich koncernów farmaceutycznych i szybko dziś powstających firm biotechnicznych, jak amerykański *Geron*, czy całe ich skupisko w stanie Maryland (*Human Genome Sciences*, *Gene Logic Inc.*, *Celera* i inne). „Bioetyka” stanowi po prostu część składową tej nowej i zakrojonej na olbrzymią skalę gałęzi przemysłu, jest narzędziem jego **reklamy głębokiej**. (Przez to ostatnie rozumiemy reklamę urabiającą – albo może lepiej: znieczulającą – sumienie nabywcy stosownie do potrzeb sprzedawcy. Na małą skalę widzimy ją np. w reklamowaniu domów publicznych jako „agencji towarzyskich”.) W tej swojej roli „bioetyka” jest też źródłem niezłych profitów dla rzeszy rozmaitych „specjalistów” od moralności, zawsze skorych do usług tam, gdzie płacą; choć relatywnie do poprzednich są to oczywiście pieniądze niewielkie, tanie usługi.

Powtórzmy, bo to ważne: nie ma „kodeksów” etycznych, są tylko etyczne **wzory**. Wzór jest zawsze osobowy: nie są to słowa na papierze, lecz czyjś konkretny sposób życia. Za takim wzorem nic nie stoi, żadna instytucja ani sankcja; przemawia za nim jedynie jego własna siła wewnętrzna. Kodeksy coś nakazują lub czegoś zabraniają – pod groźbą jakichś sankcji, chociażby opinii środowiska. Wzór niczego nie nakazuje ani nie zabrania; on jedynie coś **pokazuje**: że tak rzeczywiście można żyć. I niektórych życie takie zachwyca. Wzór pociąga wewnętrzną siłą swej duchowej atrakcji, kodeks popycha zewnętrzną siłą swych budzących strach sankcji. Mieszanie tych dwu zupełnie różnych pobudek jest częścią dzisiejszej dezorientacji.

<sup>1</sup> Najświeższym okazem tej etycznej manii jest „kodeks etyki prokuratora”, proponowany przez Stowarzyszenie Prokuratorów Rzeczypospolitej Polskiej (*Życie*, 8.12.2000.) Prezes tego stowarzyszenia Roman Wróbel tak rzecz objaśnia: „chcemy ustalić, gdzie jest granica: jakie zachowania są godne, jakie niegodne prokuratora”. Chodzi mu o wyjaśnienie takich np. kwestii jak ta, czy prokurator może chodzić pijany po ulicy, czy raczej nie powinien

3. W „bioetyce” roztrząsa się jako rzekomo niezwykle trudną taką oto kwestię: „jaka ma być graniczna wielkość ludzkiego zarodka przeznaczonego do hodowli na ‘części zamienne’?”<sup>2</sup>. Tymczasem nie jest to żadna „kwestia”, lecz oszukańczy manewr ideologiczny, by się łatwiej do tego zarodka dobrać.

Zwykły rozum każe przyjąć następujące założenie wyjściowe: **ludzki zarodek jest istotą ludzką**, od zygoty poczynając. Jest to człowiek w zarodkowej fazie swego życia<sup>3</sup>. Istotą ludzką jest bowiem wszelki stwór, w którym obecna jest i działa ta siła życiowa, która samorzutnie dąży, by się w pełni urzeczywistnić jako pewna całkiem określona ludzka osoba. Za Arystotelesem siłę tę nazywamy „entelechią”. (Dosłownie wyraz ten znaczy „coś mającego doskonałą zupełność”, albo „coś samo w sobie kompletnego”). Tak więc istotą ludzką jest wszystko to, i tylko to, w czym obecna jest i działa ludzka entelechia – ludzka **forma** życiowa dążąca do swej samorealizacji. *In potentia* jest w niej już zawarty zespół wszystkich cech gatunkowych naszego gatunku.

Obecność ludzkiej entelechii jest jedynym kryterium – jedynym warunkiem zarazem koniecznym i wystarczającym – biologicznego człowieczeństwa. Inne są umowne i chwytliwe. A zatem tylko to kryterium może pretendować do miana „naukowości” – jako oparte na istotnych cechach obiektu, a nie na powierzchniowych, jak jego rozmiary, kształt zewnętrzny, czy stopień podobieństwa do wyglądu osobnika dorosłego. Wszystko inne jest konwencją społeczną lub sofistycznym mydleniem oczu.

W chwili zapłodnienia tor życiowego rozwoju zarodka został już tak samo jednoznacznie określony jak tor rakiety kosmicznej w chwili jej odpalenia. Podstawowe cechy osobowości – czyli jej inteligencja, temperament i charakter – zostały wtedy ustalone, a także cechy fizyczne, jak wygląd, kolor oczu i włosów, grupa krwi, i wiele, wiele innych. Będą się one stopniowo ujawniały przez wiele lat, aż do chwili osiągnięcia osobniczej dojrzałości.

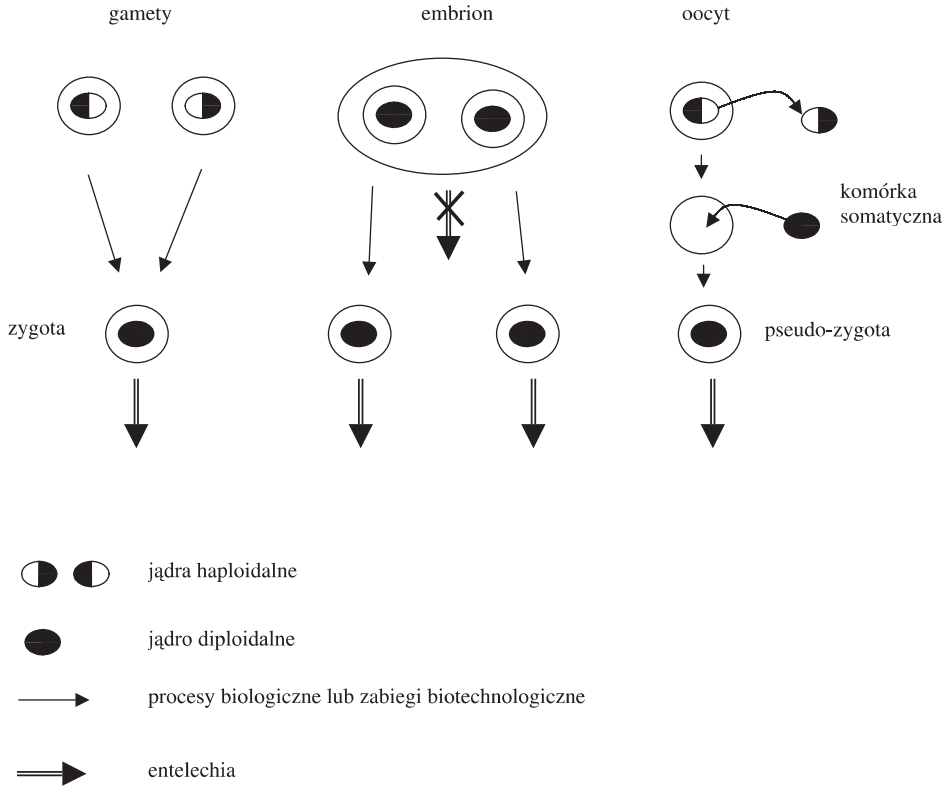
Dla oceny biologicznego człowieczeństwa nie ma znaczenia, jak dana ludzka entelechia powstała: czy drogą naturalną przez połączenie się dwóch gamet, czy przez zabieg biotechniczny. Zabieg ów może polegać bądź na zapłodnieniu *in vitro*, bądź na klonowaniu w jednej z jego dwu postaci: „równoległej” lub „zstępującej”. Przez klonowanie równoległe rozumiemy mikrochirurgiczne ćwiartowanie zarodka na komórki składowe zanim zaczęły się różnicować funkcjonalnie. A przez zstępujące – mikrochirurgiczny transfer jądra komórki somatycznej do wyjądrzonej uprzednio komórki jajowej. Schematycznie różnice te pokazuje rysunek obok.

Pierwszy schemat reprezentuje zwykłe poczęcie (naturalne lub *in vitro*); drugie klonowanie równoległe, w którym entelechia zostaje unicestwiona, a w jej miejsce pojawiają się dwie identyczne nowe; trzeci – klonowania zstępujące, czyli usunięcie z jaja jego haploidalnego jądra i zastąpienie diploidalnym, wziętym z komórki somatycznej, co daje jakąś „pseudo-zygotę”.

Entelechia ludzka to ludzka dusza. Płyną z tego dwa bezpośrednie wnioski. *Primo*: dusza to nie to samo co świadomość. Ta druga jest tylko jedną z funkcji duszy, chociaż

<sup>2</sup> Por. np. A. Jerzmanowski: „Klonowanie – spojrzenie biologa”, *Medycyna Wieku Rozwojowego*, Suplement I do nr 3, 1999, s. 49

<sup>3</sup> Pisaliśmy już o tym w ww. numerze *Medycyny Wieku Rozwojowego*



najważniejszą, która czasem się manifestuje, czasem nie (np. u embriona, albo u osoby nieprzytomnej). *Secundo*: duszę ma też ludzki embrion. Nowy embrion to nowa entelechia, więc i nowa dusza – nowy człowiek. I tak powinien być traktowany: z całym szacunkiem i atencją, jakie się ludzkiej istocie należą – także gdy jest bardzo mała.

4. Eksperymenty na istotach obdarzonych duszą, gdy się je prowadzi bez ich wyraźnego przyzwolenia, a także traktowanie tych istot jako surowca do dalszej przeróbki, są praktyką zbrodniczą.

Takie praktyki to **neomengelizm**. Definiuję bowiem „mengelizm” jako zabójcze lub kaleczące eksperymentowanie biomedyczne na bezwłasnowolnych lub ubezwłasnowolnionych istotach ludzkich. Cóż bowiem takiego czynił sam dr Józef Mengele (1911-1979), to uznane monstrum XX wieku? Jako naczelnny lekarz obozu Auschwitz-Birkenau prowadził zabójcze eksperymenty biomedyczne na więźniach tak czy tak przeznaczonych już do uśmiercenia – i w swoim rozumieniu czynił to dla dobra nauki i swego narodu. (Podobno po wojnie alianci bardzo się ich wynikami interesowali.) Jedyne co z punktu widzenia neomengelizmu można owym eksperymentom zarzucić to to, że prowadzone były niehumanitarnie, bez znieczulenia.

„Bioetyka” służy za parawan dla neomengelizmu; i każdy chwyt sofistyczny jest jej przy tym dobry. Tak oto jeden z „bioetyków” krakowskich nie widzi większego problemu w „niszczeniu zbędnych embrionów powstałych *in vitro*”, poza – jak się wyraża – pewnym „uczuciem niesmaku”<sup>4</sup>. Wskazuje przy tym, że przecież „embrionów takich powstaje w naturze znacznie więcej niż w końcu rodzi się dzieci”. Sugeruje tu wyraźnie, nie mówiąc tego wprost, że skoro tak robi sama Natura, to czemu równie naturalnie nie mielibyśmy robić tego samego także my? Sofistycznie pomija przy tym milczeniem okoliczność, że to samo dałoby się powiedzieć o każdym z nas: nas też natura traktuje „bardzo pragmatycznie”, bardziej nawet niż embriony, które jednak mocno chroni. Skoro więc sama natura likwiduje np. zbędnych starców, to czemu nie mielibyśmy i my?

Podobnie pewna logiczka warszawska, udzielająca się też bioetycznie, wzywa do „rewizji naszych tradycyjnych intuicji moralnych”<sup>5</sup>, gdzie indziej nazywając je wręcz „zmurszały mi”. Jej zdaniem bowiem te zmurszałe intuicje moralne stają dziś na przeszkodzie eksperymentom na embrionach – tak potrzebnym, by „życie mogło stać się lepsze”. Tę beztroskę moralną usprawiedliwia zaś po prostu tym, że „embrion ludzki jest to tylko materiał biologiczny – rosnący aglomerat komórek”. Jakby nie rozumiała, że ona sama też jest tylko „aglomeratem komórek”, tyle że już nie rosnącym, bo za stara. Z mocy tej samej przesłanki można by więc równie dobrze eksperymentować na niej i też po to, by „życie stało się lepsze”. Jak widać, poziom logicznej argumentacji jest u tych „nowoczesnych humanistów” niewysoki.

Neomengelizm czyni szybkie postępy, bo drogę uTORowały mu w świadomości społecznej transplantacje – dając widomy przykład na czysto uTYlitarne i w istocie ludożercze traktowanie ciała ludzkiego.

I torują ją dalej. Oto przykład: w 1996 r. Kongres USA zakazał finansowania przez państwo badań, w których jako materiał wykorzystuje się ludzkie embriony lub ich części<sup>6</sup>. Od tego czasu trwały gorączkowe poszukiwania furtki, przez którą zakaz ten dałoby się ominąć. Aż wreszcie „bioetycy” ją znaleźli: we wrześniu 1999 r. wspomniana już wyżej Krajowa Komisja Doradcza d/s Bioetyki uznała, że pobieranie komórek macierzystych z zarodków ludzkich, które jako już zbędne przeznaczają się do zniszczenia, „jest moralnie pokrewne (*morally akin*) pobieraniu ze zwłok organów do transplantacji”. Można się więc nie kłopotować.

Do innego wybiegu, iście już faryzejskiego, uciekli się „bioetycy” z tamtejszych Krajowych Instytutów Zdrowia (*National Institutes of Health*). Wykombinowali mianowicie, że eksperymenty z ludzkimi komórkami macierzystymi będzie jednak można finansować przez państwo, jeżeli tylko samego poćwiartowania embrionu dokona ktoś inny – np. jakaś firma prywatna (!). Prawnie będzie wtedy wszystko w porządku.

Kościół udzielił transplantacjom bezkrytycznie pełnego poparcia, przemilczając ich aspekt ludożerczy. Było to olbrzymim błędem, nie do naprawienia. To właśnie wtedy dżin został wypuszczony z butelki – i już do niej nie wróci<sup>7</sup>.

<sup>4</sup> Hartman J.: *Medycyna ...*, jw., s. 37-38

<sup>5</sup> Stanosz B.: *Medycyna ...*, jw., s. 61

<sup>6</sup> Patrz tygodnik *Time* z 8.5.2000 r

<sup>7</sup> Transplantacje to neokanibalizm w tym sensie, że zawierają to, co dla kanibalizmu najistotniejsze, co stanowi logicznie jego *genus proximum*: uTYlizację zwłok, i to przez ich konsumowanie – choć tutaj niekoniecznie przez otwór gębowy i przewód pokarmowy, jak w kanibalizmie klasycznym

Można by sądzić, że kryzys sumienia, jaki niesie biotechnologia, wiąże się z postępującą laicyzacją i dotyka głównie ludzi niewierzących. Wierzący mają bowiem swą stałą orientację w postaci prawa Bożego. Tak jednak nie jest: kryzys jest głębszy niż wszelkie znane dotychczas podziały wyznaniowe – przebiega nie wzdłuż ich linii, lecz w poprzek nich. Kiedyś mówiło się: „Bóg tak chce” – i to była ostatnia instancja. Czego Bóg chce, było jasne, choć nie zawsze przestrzegane. A dziś przestało być jasne.

Wiara w niezmiennność przykazań Bożych była zakotwiczona w niezmienności natury ludzkiej i głównych wyznaczników ludzkiego losu. Co więcej, dopiero uznanie takich niezmienników natury ludzkiej pozwala rozumieć owe przykazania jako coś **stałego**, danego „raz na zawsze”. To one pozwalają w ogóle mniemać, że prawo Boże nie jest ludzkim wymysłem: że stoi za nim jakaś instancja ponadludzka. Bez stałej, danej z góry i na zawsze natury ludzkiej, sama idea prawa Bożego zostaje zachwiana. W niej bowiem – w tej niezmienności ludzkiej natury – prawo to wyrażało się i ucieleśniało: „pamiętaj, żeś proch i w proch się obrócisz”.

Niezmienników ludzkiego losu nikt wyraźnie nie formułował, bo się rozumiały same przez się: ich zmiana leżała poza horyzontem wszelkiej wyobraźni. Jak nie było przykazania „nie będziesz przestawiał łańcuchów górskich”, tak nie było „nie będziesz zmieniał swojego wzrostu”; i jak nie było „nie będziesz wykluwał sobie oka”, tak też nie było „nie będziesz pożerał własnego potomstwa”. Nie dlatego, by były to rzeczy dozwolone, lecz dlatego, że zakazy te byłyby bezsensowne przez swą oczywistość.

Tymczasem za sprawą biotechnologii takie hipotetyczne przykazania zaczynają nabierać sensu. Co zdawało się absolutnym niezmiennikiem, okazuje się **zmienną** – i to zmienną, która zależy od naszej woli! „Zmieniac ludzką naturę, czy nie zmieniać” – oto jest pytanie, na które odpowiedź wymagałaby nowego Objawienia. Dawne już nie starcza. Wspierało się bowiem na niezmiennikach, które takimi na naszych oczach być przestają. Dlatego sumienie traci orientację.

Prawo Boże wymaga pewnej metafizycznej **ramy**. Jej istnienie jest w nim milcząco założone. Stanowi ją granica tego, co w ogóle da się zrobić: co do czego można sobie rozsądnie wyobrazić, że mogłoby za naszą sprawą być inaczej niż jest. Ramę tę wyznaczają prawa przyrody – te znane z doświadczenia, potocznego lub naukowego.

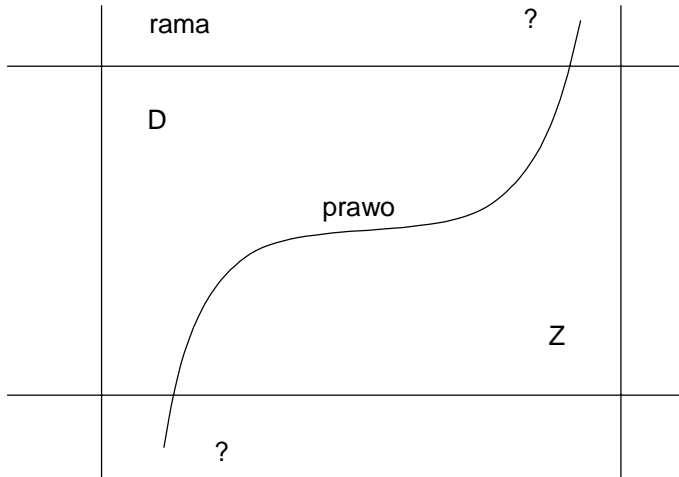
Spróbujmy przedstawić sprawę pogładowo.

Niech prostokąt na naszym rysunku reprezentuje ramę metafizyczną objawionego prawa Bożego, a dzieląca go krzywa – samo to prawo. Obszar wewnątrz ramy reprezentuje to, co w ludzkiej mocy: każdy jego punkt to pewne możliwe działanie ludzkie lub uczynek. Obszar na zewnątrz niej to to, co tę moc absolutnie przekracza.

Prawo Boże dzieli obszar możliwych działań na dwoje: na to, co dozwolone (D), i to, co zakazane (Z) – ale właśnie tylko do granic ramy. Poza nią staje się nieczytelne<sup>8</sup>.

Teraz, pod naciskiem nauk przyrodniczych, nade wszystko zaś pod naciskiem biotechnologii, ta metafizyczna rama zaczyna pękać. W jej granicach swoboda działania była ograniczona prawem Bożym, czyli **sumieniem**. Albowiem sumienie to **jest** prawo Boże wpisane w ludzkie dusze – lecz tylko w granicach ramy, która jest mu układem odniesienia. Poza

<sup>8</sup> „Nakazane” zaś jest wtedy to, czego nieczynienie jest zakazane



nią traci ono orientację. Już niektóre **dzisiejsze** możliwości i perspektywy biotechnicznej ingerencji człowieka we własną naturę wykraczają jawnie poza ramę: np. przeszczepianie całych głów ludzkich na cudze korpusy, albo zapładnianie wyjądrzonej komórki jajowej krowy jądrem, które wzięto z komórki ludzkiej<sup>9</sup>. Jednakże to są dopiero początki, biotechnologia we wczesnej fazie jej wdrażania, więc stosunkowo prymitywna. A co będzie jutro?

3. Nasza rama metafizyczna traci dziś swe główne wiązanie: przeświadczenie o nieuchronności śmierci. Definicja człowieczeństwa, którą chrześcijaństwo przejęło od starożytności i która jest ważna nadal, brzmi tak: człowiek jest to stwór rozumny a śmiertelny. (W odróżnieniu od zwierząt – śmiertelnych a bezrozumnych, oraz od bogów – rozumnych a nieśmiertelnych.) Według tej definicji śmiertelność jest obok rozumności jednym z dwu wyznaczników ludzkiej natury i ludzkiego losu. Tymczasem obecnie coraz częściej i śmielej zaczyna się napomykać, że może śmierć nie jest dla człowieka wcale tak nieuchronna, jak się w to od czasów niepamiętnych wierzyło.

Tak np. znany fizyk *Freeman Dyson* pisał w 1997 r., że „może się zdarzyć”, iż nasi stosownie przez nas zmutowani potomkowie „osiągną nieśmiertelność”<sup>10</sup>. Trzy lata później szef wspomnianej firmy biochemicznej *Human Genome Sciences*, *William Haseltine* oświadcza, że „oto po raz pierwszy możemy sobie wyobrazić nieśmiertelność człowieka”<sup>11</sup>. To samo oświadcza u nas w tymże roku 2000 znany kardiochirurg prof. *Z. Religa*: „Jestem przekonany, że w przyszłości człowiek stanie się nieśmiertelny, a rozszyfrowanie kodu genetycznego będzie pierwszym krokiem ku temu”<sup>12</sup>.

<sup>9</sup> Por. *M. Kurpisz, A. Horst: Medycyna ...*, jw., s. 24: „Klonowanie terapeutyczne może się odbyć przez połączenie diploidalnego jądra komórki biorcy z enukleowanym oocytem innego gatunku (kontrowersyjne połączenie człowiek-krowa)”

<sup>10</sup> *Dyson F.*: „Światy wyobraźni”, Warszawa 2000, s. 105

<sup>11</sup> Cyt. za *Stanisławem Lemem*, „Okamgnienie”, Warszawa 2000, s. 30

<sup>12</sup> *Życie* z 27.6.2000 – cyt. w artykule pod wielkim nagłówkiem „Krok ku nieśmiertelności”



Na naszych oczach wstaje przed ludźmi potężny miraż doczesnej nieśmiertelności; nie w sensie wiecznego życia bez końca, lecz w sensie życia nieograniczenie przedłużalnego, bez widocznego kresu: życia **bezkresnego**. Dotąd kres ten stanowiła maksymalna długość życia ludzkiego, znana i stała od starożytności: nieco ponad 100 lat<sup>13</sup>. Teraz to odwieczne *maximum* zdaje się rozpląwać i rodzi się nowa wiara: wiara w życie bezkresne, czyli w nieograniczoną odraczalność śmierci.

Nieważne, czy wiara ta jest realna – czy ma dobre podstawy. Ważne jest jedynie, że się pojawiła, i że raz się pojawiwszy, łatwo nie zniknie. Co jej obietnice są warte, to z natury rzeczy okaże się nieprędzej niż za sto lat. Czasu więc na szerzenie się i umacnianie tej nowej, scjentyistycznej religii będzie sporo; więcej niż miało go wczesne chrześcijaństwo by sprawdzić, czy zapowiedziany koniec świata nastąpi rzeczywiście jeszcze za życia ówczesnego pokolenia. Ta nowa wiara jest więc w lepszej pozycji wyjściowej niż było ono.

Wiara w życie biologicznie bezkresne, raz chwyciwszy, trudna będzie do zachwiania. Bo *primo*, wszelkie jej niepowodzenia da się łatwo wytłumaczyć i uciszyć tym, że trzeba jeszcze rozwiązać parę dalszych kwestii biotechnicznych. *Secundo* zaś, by ją zachwiać w duszach wyznawców, trzeba, by wbrew niej wymarły wpieryw całe ich pokolenia, które już nią żyły. Dopiero to mogłoby w jakiejś mierze uświadomić szerokim rzeszom jej daremność. Wiary nie umierają łatwo, zwłaszcza takie.

Wiara w życie bez kresu, w jego biologicznie otwarty przestwór, nie znaczy bynajmniej, że jej wyznawcy przestaną bać się śmierci. Wprost przeciwnie! Nieograniczona przedłużalność życia dla niektórych nie oznacza przecież jeszcze takiej przedłużalności dla wszystkich. Im bardziej więc będą wierzyć, że ich życie mogłoby być przedłużane nieograniczenie, tym bardziej perspektywa własnej śmierci będzie ich przerażać – i tym bardziej ślepo i kurczowo będą się owej wiary trzymać.

Miraż nieśmiertelności – „będziecie jako bogowie” – zmiecie z drogi biotechnologii wszelkie opory sumienia. Jego wyznawcy – jak to już dziś dobrze widać<sup>14</sup> – pójdą na wszystko, z jawnym kanibalizmem i mengelizmem włącznie, oczywiście odpowiednio przystrojonym i zamaskowanym „bioetycznie”. Będą deptać i trącać się wzajemnie, a także swoje dzieci i embriony, byle dorwać się do tej nowej, majaczącej im ziemi obiecanej.

Jest możliwe, że z naszego gatunku powstanie jakiś inny gatunek człowiekowatych (*Hominidae*), bardziej długowieczny. Ale to nie będziemy już my. Będzie się od nas różnił co najmniej w takim stopniu, w jakim neandertalczyk różnił się od człowieka z Cro-Magnon, naszego bezpośredniego przodka.

W związku z taką ewentualnością biologiczną cytowany już *Freeman Dyson* formułuje pewną prognozę. Sądzi mianowicie, że w trzecim tysiącleciu „najpoważniejszymi konfliktami będą prawdopodobnie walki między różnymi koncepcjami tego, jaka ma być istota

<sup>13</sup> Zwiększyła się ogromnie **średnia** długość życia, która w 1800 r. wynosiła w Stanach Zjednoczonych 47 lat, a w 2000 – 77 lat (co podajemy za profesorem A. Szczeklikiem, *Tygodnik Powszechny* z 5.11.2000); **maksymalna** nie zmieniła się nic

<sup>14</sup> 19 grudnia 2000 r. brytyjska Izba Gmin uchwaliła stosunkiem głosów 2:1 ustawę, która legalizuje klonowanie ludzkich embrionów do celów terapeutycznych do 14 dnia ich życia. Por. w tej sprawie nasz artykuł: „Barbarzyństwo w szacie humanizmu”, *Rzeczpospolita* z 8 stycznia 2001 r.

ludzka. /.../ Walki te mogą doprowadzić do wojen ludobójczych”<sup>15</sup>. To znaczy do takich, w których tępi się całe populacje według jakichś kryteriów biologicznych; a może także religijnych, bo te różne „koncepcje” człowieczeństwa wystąpią zapewne jako różne wiary.

7. Biotechnologia stanowi w dziejach ludzkości absolutne *novum*, a jej błyskawiczne postępy sprawiają, że świadomość społeczna jest w stanie głębokiej konfuzji i euforycznego oszołomienia jednocześnie. Stan ten pewno minie, gdy biotechnologia odsłoni bardziej swoje drugie oblicze, mało już ludzkie. Wtedy przyjdzie czas na refleksję: nie tę pozorowaną „bioetyki”, lecz na prawdziwą refleksję nad człowiekiem i jego miejscem na Ziemi. Taka zaś refleksja musi doprowadzić do wielkiej polaryzacji stanowisk: do rozłamu na dwie przeciwne wiary, walczące z sobą bez pardonu.

Jednakże osią polaryzacji nie będą chyba te czy inne techniki biomedyczne: jak wczoraj zapładnianie *in vitro*, dzisiaj klonowanie, a jutro może bezpośrednia ingerencja w centralny układ nerwowy – zmieniająca arbitralnie osobowość, czyli przerabiająca jednych ludzi na innych. Osią tą będzie kwestia dużo ogólniejsza. Biotechnologia to w końcu jedynie zespół środków do jakichś celów. Polaryzacja dokona się zapewne wokół kwestii, jak się te cele i środki do siebie mają; i co robić, gdy zaczynają się wzajem wykluczać.

Osią polaryzacji będzie podstawowy dogmat moralny współczesności. Wszyscy go znamy, bo jest powtarzany przy każdej sposobności. Dogmat ten brzmi: „życie jest wartością najwyższą”. Rozumie się to tak: „największym nieszczęściem, niewyobrażalnym, jest śmierć; zatem trzeba przedłużać życie ile się tylko da, i za każdą cenę”. Między innymi można i trzeba je przedłużać za cenę życia embrionów. Ich życie bowiem to tylko „materiał biologiczny”, który się moralnie nie liczy – jak u doktora Mengele nie liczyło się życie tych Żydów, przeznaczonych już i tak do zagłady.

„Bioetyka” bierze ów dogmat za swą naczelną przesłankę, nigdy go nie kwestionując ani nie uzasadniając. Nie baczy przy tym, że gdy pęka rama naszej etyki, traci on określoną treść. **Jakie** to bowiem życie ma być tą najwyższą wartością? Odpowiadają wtedy: „ludzkie”. Dobrze, ale czyż życie ludzkiego embriona nie jest ludzkie? Jak się tutaj określa „ludzkość” życia i po czym ma ono być jako „ludzkie” rozpoznawalne? Dotąd – czyli do przewrotu biotechnologicznego – określała to rama metafizyczna: absolut biologicznej konstytucji człowieka, czyli w praktyce po prostu **człekokształtność**. (Stąd zresztą bierze się to lekceważenie moralne embrionów: że na oko tak mało człekopodobne. To rzekomo „oświecone” ujęcie sprawy objawia się przy bliższym wejrzeniu jako zwyczajne kołtuństwo.)

Absolut biologicznej konstytucji człowieka jest właśnie rozbijany przez biotechnologię i pada wobec perspektywy jego ewentualnych rekonstrukcji i „ulepszeń”. Ograniczają ją już tylko prawa genetyki, nie jakiś poszczególny genotyp. Absolut zaś podatny na przeróbki nie jest żadnym „absolutem”, to chyba jasne. Różnica między tym, co „ludzkie” i „nie-ludzkie”, tutaj się zaciera i czujemy, jak grunt moralny osuwa się nam pod nogami.

8. Cóż więc robić? Trzeba by przede wszystkim odrzucić *a limine* ów fałszywy dogmat o życiu jako wartości rzekomo najwyższej. Służy on bowiem jedynie za ideologiczny

<sup>15</sup> Dyson F.: *juw.*, s. 103

parawan dla praktyk tak wątpliwych, jak mengelizm klonowania i kanibalizm transplantacji. Trzeba ten dogmat wprost zanegować: nie człowiek jest wartością najwyższą, lecz człowieczeństwo. (Albo po chrześcijańsku: chwała Boża.) Życie ludzkie ma tylko wtedy wartość wyższą niż zwierzęce, gdy się w nim i przez nie realizuje człowieczeństwo. A to znaczy, że nie zawsze ją ma: może ją utracić. Człowieczeństwo nie jest nam dane automatycznie z biologią. Jest bowiem kwestią woli, a ta jest wolna: może je przyjąć lub odrzucić.

Zapytają pewnie: a co z ludzkim embrionem, czy jemu przysługuje „człowieczeństwo”? Nie ma przecież woli.

Otóż właśnie ma. Wola – a ściślej: kierunek woli – to to samo co **charakter** człowieka. Ten zaś został już w embrionie ludzkim określony, podobnie jak temperament i inteligencja, tylko nie zdążył się jeszcze ujawnić – tak samo jak w fetusie i noworodku. Ujawnia go w swoim czasie czyny. Dlatego przyjmujemy presumpcję dodatnią: dopóki nie pokazało się dowodnie, że człowieczeństwa w nim nie ma, dopóty sądzimy, że jest. Taki ma sens zasada, że embrion jest istotą ludzką – choć ma tylko 200 mikronów średnicy i kulisty kształt.

Po drugie zaś, trzeba by przemyśleć od nowa miejsce, jakie w życiu człowieka ma śmierć. I odpowiedzieć sobie wyraźnie na parę istotnych pytań:

- czy rzeczywiście śmierć jest największym nieszczęściem;
- czy naprawdę zawsze warto żyć;
- czy dla człowieka nie ma nic cenniejszego niż jego własne życie, ani ważniejszego niż przedłużanie go?

Wszystkie te pytania są w materii swej **religijne**. Dzielimy bowiem zdanie Hegła, że „religia zaczyna się od świadomości, że jest coś wyższego niż człowiek”<sup>16</sup>. Życie, w którym nie ma nic, za co warto by je oddać, jest jak uschły liść. Zasada takiej nowej wiary mogłaby brzmieć: nie robić z przedłużania **swego** życia zbyt wielkiej sprawy – dobrze, gdy trwa; nie będzie dziury w niebie, gdy się skończy. W gruncie rzeczy zresztą jest to stoickie i chrześcijańskie: „Bóg dał, Bóg wziął”.

Między takimi postawami dokona się polaryzacja, do której zmusi ludzkość cud nowej biologii: co wam ważniejsze – dłużej żyć, czy zachować człowieczeństwo? W tym starciu neomengelizm zapewne zwycięży. Ale im później, tym lepiej – opór ma tu zatem duży sens.

Profesor *Bogusław Wolniewicz*  
02-583 Warszawa, ul. Wołoska 38-7

---

<sup>16</sup> *Hegel G.W.F.*: „Philosophie der Geschichte”, 2 wyd., Berlin 1840, s. 116